



Goria '18

Smutna dziewczyna

Bez lustra owinęła usta w czerń

Powieki uzbroiła w gęsty cień

Na schodach został po niej perfum smak

Nieśmiało zwiastujący to, co miało się stać

Smutna dziewczyna — the Cuts.

Odsunąłem się pod ścianę i pozwoliłem dziewczynie przejść tak, by nie musiała mnie nawet musnąć. Dlaczego? Sam nie byłem pewien. Może dlatego, że wyglądała bardzo nietypowo na tle innych małych w dyskoteci. Wszystkie kolorowe do bólu zębów, z dekolcami lśniąco od potu, z opalonymi udami, błyskającymi spod zbyt krótkich sukienek, z uśmiechem sztywno przyklejonym do warg i bystrym spojrzeniem, prowokującym napalonych tak samo jak one chłopaków.

- Kto to? – spytałem stojącego obok Grześka.
- Zmartwychwstała Maryja – zarżał w odpowiedzi.
- Co?

Zaciekawił mnie, ale nie sposób było rozmawiać przy łomocie disco.

- Chodź, zapalimy! – zaproponowałem.

Po drodze kupiłem dla siebie kolejną colę, a Grześkowi drinka. Wyszliśmy na taras. Wyciągnąłem paczkę i poczęstowałem kumpla, sam też wziąłem jednego, chociaż obiecywałem sobie, że będę się ograniczać. Byliśmy

tylko my dwaj i jakaś parka, śliniąca się na ławce pod oknem.

– No i co z tą dziewczyną? – przypomniałem Grześkowi.

– Jeśli ostrzysz sobie na nią zęby, to marne twoje szanse. To cnotka-niewydymka. Nikogo nie dopuści.

– Daj spokój, po prostu mnie zaciekawila. Jest jakaś inna.

Nie potrafiłem sprecyzować swoich uczuć. Jej wygląd mnie zaszokował. Pasowałby, gdyby mieszkała w jakimś dużym mieście, ale nie tu, na prowincji. Nie miałem nic do małomiasteczkowej społeczności, ba, nawet teraz, już jako w sumie dorosły facet, student, z przyjemnością przyjeżdżałem, by pobyć przynajmniej tydzień u babci, trochę jej pomóc. Kiedy byłem młodszy, spędzałem tutaj całe wakacje, stąd szczenięca przyjaźń z Grześkiem, odkurzana każdego lata. Zawsze szwendaliśmy się razem: nad rzeczkę, na dyskotekę, na jabłka z sadu Łuczaków. Tu przeżyłem swój pierwszy raz z dziewczyną – rozgorączkowany, szybki i beznaziejny, tak samo dla niej, jak i dla mnie. Ale nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak „zmartwychwstała Maryja”. Otaczał ją dziwny, niepokojący zapach, słodko-gorzki, jakiś taki dorosły, przesycony... Czy ja wiem... cierpieniem, nienawiścią, erotyzmem? A może wszystkim po trochu. Chyba właśnie dlatego tak mnie zaintrygowała. A jeszcze ten wygląd: usta pociągnięte czarną szminką, atramentowy cień na powiekach, ciemna

bluzka i takiego samego koloru szorty, kończące się tuż nad kolanami. I glany – ciężkie, grafitowe – na szczupłych nogach dziewczyny wyglądały, jakby mafia ubrała ją w betonowe buty. Do tego na szyi obroża nabijana ćwiekami...

– No, co z nią? – ponagliłem Grześka.

– Ze dwa lata temu, gdzieś koło świętego Jana, zorganizowali tu imprezę. Ściągnęli nawet profesjonalnego didżeja. Maryśka przyszła ze znajomymi, bawili się prawie do rana, a potem całą gromadą dali z buta do domów. Szli poboczem i jakiś najebany małolat w samochodzie wartym tyle, co chałupa moich starych, wjechał w nich. Na miejscu zginęły trzy osoby. Pamiętasz matkę Jaśka Majczyzny? Ona pracuje w szpitalu. Opowiadała, że Marysia wyglądała, jakby zasnęła – żadnych ran. Potem mówili, że chyba coś jej się stało w głowę, nie wiem dokładnie, w każdym razie stwierdzili zgon. Wsadzili dziewczuchę do lodówki i przeleżała tam jakieś trzy dni. Później wyciągnęli, żeby zrobić sekcję. Ale zanim facet zaczął ją kroić, zadzwoniła do niego żona czy kochanka... No, w każdym razie długo gadali... Na tyle długo, że Maryśka zdążyła ogrzać się trochę i zaczęły drgać jej powieki...

– Ty, nie wyglupiaj się! – Nie dowierzałem opowieści kumpla.

– Jak słowo daję! Potem ją leczyle, rehabilitowali, wysyłali gdzieś. W końcu stwierdzili, że jest już zdrowa. Ale ja tam bym temu nie wierzył. Ona jakaś nienormalna jest.

– Dlaczego?

– Stary, daj spokój. Jej się coś popierdoliło pod sklepieniem, zresztą wcale się nie dziwię... po takich przejściach... Widzisz, jak się ubiera? Z nikim nie rozmawia, tylko macha łapami albo mamrocze do siebie, jakby gadała z upiorami. A od początku wakacji zaczęła co sobotę nawiedzać tę dyskotekę; wchodzi, oblatuje wszystkie kąty i wychodzi. Już nawet biletu nie musi kupować. A potem stoi na parkingu i czeka, aż odjedzie ostatni samochód...

– I co?

– I nic. Idzie do domu, a następnej soboty znowu tu się zjawia.

– Ma jakichś przyjaciół, chłopaka?

– Nie mam pojęcia. Daj se siana. Chodź, wracamy, bo nam wyrwą najlepsze towary!

– Grzesiek, opanuj się, to same maolaty! Jeszcze prokurator na nich łapę trzyma!

– Bredzisz, przyjacielu. Towar, że palce lizać, świeżyna i za drinka gotowa na wszystko. Idziesz?

– Idź sam, ja tu trochę posiedzę.

– Jak chcesz. – Grzesiek wzruszył ramionami i zniknął we wnętrzu.

„Zmartwychwstała Maryja” nie dawała mi spokoju. Siedziałem na tarasie sam, obściskująca się parka gdzieś zniknęła. Nie miałem pojęcia, czy wrócili na dyskotekę, czy wylądowali nieopodal w krzakach, żeby pogłębić znajomość anatomii. Machinalnie wyciągnąłem z paczki kolejnego papierosa, wetknąłem go do ust i przypaliłem. Blask

ognia z zapalniczki na chwilę mnie oślepił. Kiedy sprzed oczu zniknęła denerwująca plama, zobaczyłem na tle zarośli postać Marysi. Od razu wiedziałem, że to ona. Mało tego, wydało mi się, że poczułem dziwny zapach jej perfum. Ruszyłem w stronę dziewczyny, ale wtedy zrobiła dwa kroki do tyłu i rozplynęła się w otaczających ją ciemnościach.

Dopałem papierosa i poszedłem na poszukiwanie Grzegorza. Znalazłem go przy barze w towarzystwie rozanielonej małodlatki. Oboje sęczyli jakieś kolorowe drinki.

– Grzesiek, ja się zmywam – krzyknąłem mu prosto do ucha, bo musiałem pokonać dudniącą zewsząd muzykę. – Idziesz?

Kumpel pokręcił przecząco głową.

– Dobra. Będziesz miał jak wrócić do domu? – spytałem jeszcze przez grzeczność.

– Jasne! – odwrzasnął. – A jak nie, to przygarnie mnie Ania. Prawda, Aniu?

Panienka rozpromieniła się – adoracje faceta na oko dziesięć lat starszego wyraźnie przypadły jej do gustu. Wyszedłem trochę zniesmaczony – widać Grzesiek nie dorósł jeszcze i trwał na etapie rozemocjonowanego nastolatka. Mnie już to nie bawiło. Właściwie to nawet nie wiedziałem, jakim cudem dałem się wyciągnąć do tej tancbudy.

Na parkingu stało kilka samochodów. Wygrzebałem klucz i próbowałem wetknąć go w zamek. Jedyne czynna lampa znajdowała się oczywiście po drugiej stronie placu. Dopiero po chwili udało mi się trafić.

Otworzyłem drzwi i znieruchomiałem. Maria zmateria-
lizowała się przede mną jak zjawą. Jej twarz, odrobinę
oświetlona blaskiem latarni, robiła makabryczne wra-
żenie. Oczy ginęły w głębokim cieniu, co wyglądało,
jakby ich w ogóle nie było. Usta, ukryte pod czarną
szminką, na upiornie bladej skórze wydawały się drgać
jak u drapieznika, który dopiero chwilę przed atakiem
obnaży białe kły.

– Cześć! – powiedziałem i odchrząknąłem, bo głos
uwiązł mi gdzieś w krtani. – Podwieźć cię?

Od razu widziałem, że popełniłem błąd. Ogromny
błąd. Marysia zrobiła krok w moim kierunku, a wtedy
zobaczyłem, że jej tęczówki są smolście czarne, zasłania-
ją nawet biel galek. Wpatrywała się we mnie intensywnie,
a ja nie mogłem odwrócić oczu. Na domiar złego powiał
lekki wiatr i w moją stronę popłynął intensywny zapach
jej perfum. Ale teraz nie był intrygujący, był duszący,
obezwładniający. Wciskał się nachalnie w moje nozdrza,
zatykał gardło, nie pozwalając zaczerpnąć powietrza.

Marysia zrobiła jeszcze dwa kroki. Zatrzymała się
przede mną w odległości dosłownie kilkunastu centyme-
trów. Dudniło mi w uszach z braku tlenu, serce kołata-
ło szaleńczo, jakby miało zaraz uderzyć po raz ostatni,
nogi miałem jak z waty, a mimo to nie przewróciłem
się – niewidzialna siła utrzymywała mnie w pionie.
Rzęziłem, usiłując otwartymi ustami złapać chociażby
najmniejszy haust powietrza. Dziewczyna przysunęła
do mnie twarz, przymknęła oczy i zaciągnęła się moim

ostatnim oddechem. Absurdalna myśl, czy przypadkiem nie śmierdzi mi z ust, sprawiła, że gdzieś wewnątrz mnie wezbrał dziki, nieopanowany chichot.

Opierałem się o samochód i łapczywie wciągałem powietrze. Smakowało jak nigdy dotąd: wilgocią, nocą, żywicą sosen i słodko-gorzkiemi perfumami Marysi. Gdy wyrównałem oddech, rozejrzałem się wokół. Dziewczyny nigdzie nie było widać. Wsiadłem do auta i włożyłem kluczyk do stacyjki. Przez moment zastanawiałem się, czy doświadczyłem omamów, a może dopadł mnie zawal.

Uruchomiłem samochód i odjechałem, nie oglądając się na parking.

* * *

Dziewczyna nie dawała mi spokoju. Wypytywałem babcię, słusznie podejrzewając, że takie wydarzenie musiało stać się głównym temat plotek na kilka następnych miesięcy, jeśli nie lat. Ale oprócz tego, że poznałem miejsce zamieszkania Marii, kochana staruszka nie dostarczyła mi żadnych nowych informacji.

Codziennie chodziłem pod dom Marysi, ale tylko raz wieczorem za firanką mignęła mi jej postać. Dlatego w następną sobotę Grzesiek nie musiał mnie namawiać na odwiedziny w dyskotecę. Wiedziałem, że jedynie tam będę mógł spotkać ją ponownie.

– Żałuj, że nie zostałeś! – Mojemu kumpłowi dziób się nie zamykał. Opowiadał historię podbojów z poprzedniego weekendu i nastrajał się na dzisiejszy

wieczór. Było mi to nawet na rękę. Musiałem przemyśleć, czego właściwie chcę od Marysi.

Na pewno się bałem. Nie potrafiłem sobie wyjaśnić, co wydarzyło się na parkingu. Może właśnie ta przygoda sprawiła, że czułem taką niezdrową fascynację? Wmawiałem sobie, że zwyczajnie chcę od Marii wytłumaczenia, ale to nie była prawda. Ciągnęło mnie do niej jak alkoholika do kieliszka. Stałem się uzależniony, wszędzie szukałem jej zapachu, w plamach ciemności starałem się dostrzec drobną postać.

– Co z tobą? – Głos Grześka wyrwał mnie z zamyślenia. Nie miałem pojęcia, czego chce.

– Co?

– Co co?

– Sorki, stary, na chwilę się wyłączyłem.

– No właśnie widzę! – Grzesiek skrzywił się.
– Przeoczyłeś skręt w Nowodworską. Musisz zawrócić, tędy nie dojedziemy.

* * *

W dyskotecce panował ścisk i duchota, było gorzej niż poprzednim razem. Może dlatego, że zbierało się na burzę. Dziewczyny lasiły się do nas, jak bezpańskie kundle do nowego właściciela. Skryłem się w kącie baru i ze szklanką coli w ręku podziwiałem kumpla, który brylował otoczony wianuszkami wielbicielek. Co rusz omiatałem wzrokiem dostępny wycinek parkietu, ale Marysi nie było nigdzie widać. Około jedenastej rozpętała się

nawalnica. Odgonilem napaloną małodatkę, która domagała się ode mnie drinka i w zamian zostałem zaatakowany stekiem obelg.

Wyszedłem na taras. W świetle błyskawicy od razu zobaczyłem dziewczynę, ruszyłem w jej kierunku, ale zniknęła w krzakach. Pierwsze krople uderzyły stacatto o liście, by za chwilę runąć ulewą na otaczający budynek i plac las. Wiatr wdusił mi oddech w płuca, przez moment poczułem strach, że to znowu Marysia, że znów nie uda się z nią porozmawiać, ale to tylko natura pokazywała, kto tu rządzi. Cofnąłem się pod dach, odszukałem wzrokiem Grześka i z daleka pokazałem, że już jadę do domu. Pomachał na pożegnanie i wrócił do swojego stadka.

Wiedziałem, że ponownie zobaczę ją na parkingu. Schroniłem się w samochodzie. Uruchomiłem wycieraczki, ale nie nadążały z odgarnianiem wody. Przez zamglone szyby, w świetle jedynej działającej latarni niewiele widziałam, ale byłem pewien, że jeśli się pojawi, nie przeoczę jej.

Serce tylko na ułamek sekundy przyhamowało, gdy ujrzałem Marię przed maską. Ociekała wodą. Uczyniłem zapraszający gest i z ulgą, a jednocześnie z przerażeniem zobaczyłem, że rusza w moją stronę. Wsiadła bez słowa. A ja, równie niemy, gapilem się w ciemną przestrzeń za oknem, wsłuchiwałem się w równomierną pracę wycieraczek, spłoszony jak na pierwszej randce. Miałem tylko nadzieję, że będę miał szanse na jakieś kolejne, niekoniecznie z Marysią, ale z jakąkolwiek dziewczyną.

– Poczęstuj mnie papierosem – poprosiła cicho, a ja byłem szczęśliwy, że słyszę jej głos. I że jest miły. I że za chwilę oboje zaciągniemy się dymem, a potem go wypuścimy w niewielką przestrzeń wnętrza samochodu, by zagłuszyć, przytępić zapach jej perfum.

Nie mogłem się odezwać, bo obawiałem się, że każdy dźwięk może ją spłoszyć. Była teraz taka niewinna, dziewczęca, świeża. Tysiące pytań cisnęły mi się na usta, a jednocześnie każde było mniej ważne od poprzedniego. Albo ważniejsze.

– Nie, nie zapominam... – Usłyszałem i odwróciłem się w stronę Marysi. – Oczywiście... Nie martwicie się...

Maria mówiła, ale słowa nie były skierowane do mnie. Smutne oczy wpatrywały się w mgłę na szybie, a może w ciemną linię lasu otaczającego parking. Uchyliłem okno, by wpuścić świeżego powietrza. Zimny podmuch liznął mój kark i sprawił, że zadrżałem.

– Miałaś kiedyś narkozę? – spytała, a ja dopiero po chwili zorientowałem się, że mówi do mnie. – Wtedy tak właśnie jest. Jest nic. Takie ciche, spokojne, czarne nic. Ale to można poczuć dopiero, kiedy się obudzisz. Bo kiedy było tamto nic, nic nie było. I było dobrze.

Marysia zamilkła, a ja siedziałem bez ruchu, by jej nie wystraszyć. Wiedziałem, o czym do mnie mówiła. Rozumiałem i cieszyłem się, że powierzyła mi swoją tajemnicę.

Dziewczyzna zdusiła niedopalek papierosa w popielniczce, otworzyła drzwi i wyszła, nie oglądając się.

Chciałem ją zatrzymać, zapytać o wiele innych spraw, ale wiedziałem, że to nie ma sensu. Czulem smutek, ból i wiedziałem, że nie mogę pomóc. Patrzyłem, jak podchodzi do innego auta, gdzie naprany facet usiłuje wcelować kluczykami w zamek. Stała za nim. Spozstrzegł ją dopiero, gdy otworzył drzwi. Nie słyszałem, co mówi, bo deszcz zagłuszał wszystko, ale widziałem, że gestem zaprasza do samochodu. Podeszła blisko, a ja pamiętałem, że oczy Marii są wtedy całkowicie czarne, że drżące wargi odsłaniają białe zęby. Zauważyłem, że mężczyzna zaczyna się dusić, ręce chaotycznie uderzają wokół, a nogi uginają się, nie będąc w stanie utrzymać ciała. Nie zrobiłem nic, gdy padł na kolana, a dłonie rwały kołnierz koszuli, jakby to mogło zapewnić płucom dopływ tlenu. Jeszcze przez chwilę walczył, a potem pochylił się, aż wreszcie wylądował w kałuży pełnej brudnej wody i błota.

Budynek wypluł kolejną roześmianą grupę nastolatków. Zanurzyli się w ciemność, jeszcze długo słychać było krzyki i śmiech. Nikt nie patrzył w stronę parkingu.

Marysia odwróciła się – po bladej twarzy splywał czarny makijaż, a usta układały się w nieśmiały uśmiech.